TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK »GŁOSU NARODU«

Rok II | Kraków, niedziela, dnia 21 listopada 1937 r. | Nr 47

J. A. Radecki

Jak bolszewizm zgnębił chłopa — i jak kosa trafiła na kamień

Dajemy dziś oryginalny opis prób kolektywizacji rolnictwa w Rosji Sowieckiej. Jego wartość — prócz żywości opisu — stanowi to, że autor żył długo w Rosji (południowej) i od paru lat mieszka w Polsce. Jego opis ma charakter dokumentu.

Od dwudziestu lat trwająca walka wsi sowieckiej z kolektywizacją, — walka, która pochłonęła setki tysięcy ofiar — skończyła się oficjalnie zwycięstwem kolektywizmu. I jak twierdzi „Socjalisticzeskoje ziemledielio" (z października 1937), „Sowiety stały się kwitnącą industrialno-kołchozną krainą". Lecz tylko — na papierze!

PRÓBY KOLEKTYWIZACJI.

W pierwszych latach komunistycznego regime'u kolektywizacja przeprowadzana była tylko na obszarach wielkich latifundiów, a od roku 1929 na obszarze całego państwa.

Zmiana gospodarstw z dawnych indywidualnych na „kołchozy" (gospodarstwa, gdzie pracuje grupa ludzi jako „właściciel" według ustalonego planu) i „sowchozy" (majątki państwowe, gdzie pracuje obywatel jako najmita) została skończona. Całym gospodarstwem w państwie kieruje WCIR (Wszechrosyjski centralny instytut rolny), który jest panem życia i mienia rolników. Reforma natrafiła jednak na twardy opór wieśniaka, opór tak zacięty, że musiano zastosować tzw. „dobrowolne przesiedlania", przeprowadzane w ten sposób: w nocy pod śpiącą wieś podjeżdżały ciężarowe samochody uzbrojone w karabiny maszynowe, otaczały ją i wtedy poczynali „działać" czekiści. Jeżeli zbudzona wieś stawiała opór, usypiały ją karabiny — na zawsze. Zastępy „dobrowolnych przesiedleńców" okutych w kajdany podążały w kierunku Sybiru, Sołówek czy Uralu. Z samego tylko maleńkiego Krymu w roku 1931 „przesiedlono" w ten sposób 36 tys. Tatarów. Można sobie przedstawić to „własnowolne" przeniesienie się z ciepłego Krymu czy bogatej Ukrainy na Sybir czy Sołówki.

Rękoma tych męczenników zbudowany został wspaniały kanał Moskwa—Wołga, którym szczycą się Sowiety jako jeszcze jednym sukcesem „gospodarki socjalistycznej". Dlaczego jednak podczas pracy przy kanale — „pracy pełnej entuzjazmu, ofiarności — pracy, która będzie świeciła przykładem następnym pokoleniom" (z przemówienia Stalina podczas otwarcia), niedopuszczono żadnego cudzoziemca? Dlaczego dziennikarzom zagranicznym pokazywano tylko kilka kilometrów od Moskwy, gdzie pracowali dobrze uposażeni robotnicy? Fakty te wskazują na to, że Sowiety nie chciały, aby rozsypane tam białe kości nieszczęsnych opowiadały światu o „raju komunistycznym". Ziściły się słowa Stalina: — „wy takije szczaśliwyje". Tak! — tylko nie na ziemi, ale już na tamtym świecie.

Lata głodowe 1931—33 pogłębiły jeszcze bardziej antagonizm chłopsko-rządowy.

USTĘPSTWA.

Dopiero po latach lepszego urodzaju 1934—5 nastąpiła względna poprawa i sowieckie gazety obwieściły światu zdobycie jeszcze jednej bardzo ważnej „twierdzy" — wieśniaków. Trwało to krótko. Słaby urodzaj w roku 1936 stał się znów podnietą do buntów i sabotaży, nastąpił twardy, bezwzględny opór wsi. Głodny chłop rozpoczął znów śmiertelną walkę z kolektywizacją. Bolszewicy, obawiając się rozruchów na szerszą skalę, musieli ustąpić. Podzielono większość kołchozów na działki i na każdej z nich osadzono chłopa jako „właściciela". Miało to być w mniemaniu rządu dobrym lekarstwem na przetrwanie kryzysu. Przeliczyli się. U chłopa odezwały się teraz atawistyczne dążenia do indywidualnego gospodarowania. Chłop zaczął wołać na cały głos, że chce własnego gospodarstwa, nie chce pańszczyzny, chce sam o sobie myśleć i na swoim gospodarstwie rządzić się tak, jak mu się podoba. Moskiewska „Prawda" (z sierpnia 1936) pisze: — gdy przybyliśmy na Krym, Kaukaz czy Ukrainę, witały nas transparenty: „Nie bierz cudzej ziemi, bo własność jest święta!"... Taż sama „Prawda" w kilka dni później oświadczyła: — Nie ma potrzeby zakładania nowych kołchozów, skoro stare rozpadają się w gruzy...

Ponowne sabotaże w formie niszczenia plonów czy w formie biernego oporu niesłychanie ujemnie odbiły się na całym gospodarstwie w państwie. Prasa sowiecka pomimo tego pisze o chłopskim patriotyzmie, o szczerym przywiązaniu wieśniaka do ustroju kolektywnego.

ZESZŁOROCZNY NIEURODZAJ.

Pozorna harmonia, jaka nastąpiła po latach dobrej koniunktury i rozdaniu działek, została mocno nadszarpnięta zeszłorocznym nieurodzajem. Chociaż „Prawda" czy „Izwiestia" zapewniały nas o doskonałym urodzaju, jak na polu tak i w ogrodzie, ale szydło z worka zawsze wylezie, tak i świat dowiedział się, że na najbardziej urodzajnych terenach (Rosja południowa) zebrano z hektara 3—4 kwintali zboża, to jest mniej prawie cztery razy, niż w latach dobrego urodzaju. Zbiory paszy dwukrotnie się zmniejszyły. Najgorzej przedstawiały się zbiory owoców (na skutek złej gospodarki), które w rejonach południowych stanowią w ciągu roku prawie jedyny dochód ludności, a w okresie jesiennym zwykły sposób dożywiania. Skutkiem tego nastały masowe ucieczki z kołchozów czy sowchozów i masowa wyprzedaż bydła i nierogacizny. Na całej linii nastąpił krach. „Obopólna sympatia" skończyła się. Czynniki miarodajne przerażone nieurodzajem i buntami, poczęły na nowo kokietować chłopa. Puszczono pogłoskę o nowym systemie podziału ziemi (każdy wieśniak miał otrzymać jako dzierżawca kilka ha) i o wolnym handlu.

Przyszedł rok nowy (1937) a z nim nowe kłopoty. Na skutek zeszłorocznego nieurodzaju zabrakło ziarna na zasiewy. Na wiosnę w największym nasileniu pracy nie było czym orać ani siać. Barbarzyńska eksploatacja traktorów (gospodarstwa w ZSSR „zmechanizowane") uczyniła je niemożliwymi choćby do powolnej pracy, a w dodatku brak pieniędzy i fachowców opóźnił naprawę. „Za Industrializacji" (październik 1937) podaje charakterystyczny obrazek: — Kołchoz „Peremoka" (Ukraina) zubożał do tego stopnia, że nie ma potrzebnych 7 rubli na kupno szczotek i szmat, a tymczasem WCIR nałożył już od roku areszt na jego konto na 190 tys. rubli.

Z braku ziarna zasiewy trwały do 25 czerwca, chociaż WCIR twierdził już setki razy, że zasiewy mogą trwać najdalej od 5—10 maja. Do 15 maja zasiano zaledwie 64%. Zasiewy w terminach późniejszych dały ziarno złe, albo wcale go nie było w kłosie. Na domiar złego na wskazany rejon przysyłano nieodpowiednie ziarno, co odbiło się w urodzaju.

Do 20 czerwca obsiano zaledwie 84%, a reszta leżała odłogiem. Do tego samego terminu w roku ubiegłym zasiano o 860 tys. ha więcej, a w 1935 o 1.6 miln. ha. Obszar zasiewu tak się kurczy, że np. na Krymie na 1,7 miln. ha zasiano zaledwie 900 tys. (Dżafow Sajdamet).

NIEZADOWOLENIE I WALKA.

Niezadowolenie zaczęło się w całym kraju. Już czerwcowe plenum CK i WKP uprzedza o niebezpieczeństwie, gdyż szereg faktów świadczy o początkach rozruchów, szczególnie w rejonach południowych... Nie pozostało nic innego, jak przywrócić gospodarstwa indywidualne. Zaczęto wydzierżawiać ziemię wieśniakom i znów łudzić chłopa opowiadaniami o raju, jaki nastąpi po reorganizacji. Ale te ćwierćśrodki nie wywarły żadnego głębszego wpływu na sytuację, która się wytworzyła obecnie.

Masowa kradzież, sabotaże poczęły się szerzyć w całym kraju. „Socjalisticzeskoje Ziemledielie" podaje: — wykryci i pojmani sprawcy kradzieży w kołchozie Bakar (Kaukaz) twierdzą, że ukryte zboże i mięso jakoby miało iść na „wzmocnienie gospodarstwa kolektywnego"... Jest to wierutne kłamstwo i burżuazyjny wymysł... Wobec tego trzeba zmobilizować czujność młodzieży komsomolskiej, która by czuwała nad porządkiem w kołchozach i sowchozach...

Dalej taż sama gazeta podaje jeszcze taki „obrazek": — Sowchoz im. Wegera (Odessa) podał fałszywe liczby tegorocznego zbioru: zamiast 7,4 cetnara jęczmienia i 6,5 c. pszenicy z jednego hektara podał 4 c. jęczmienia i 3 c. pszenicy.

Sprawcy zostali powieszeni, ale jak wiadomo, śmierć w Sowietach przestała już straszyć. Wieśniacy swój „ohydny proceder" (Prawda) dalej prowadzą.

Podam teraz obrazek z „raju" bolszewickiego, który widziałem w ub. latach na Krymie: Zwiedzałem ogród owocowy Passaka (koło Symperopola) — ogród, w którym spędziłem swoją młodość.

Otóż słynny niegdyś na cały Krym ogród przedstawia dziś jedną wielką ruinę. Drzewa połamane, ogród brudny i niepilnowany. Przyglądam się owocobraniu. W moich dziecinnych latach zbierano owoce rękoma ubranymi w specjalne rękawiczki czy w miękkie flanelowe woreczki. Dziś kołchoźnik włazi na drzewo i zawzięcie trzęsie; owoce oczywiście rozbijają się i po dwóch dniach niezdatne są użytku. Jeden z „trzęsących" zapytany, dlaczego nie zbiera lecz trzęsie, dał charakterystyczną odpowiedź:

— Eto nie moje, Maskwa zabierot wsio.. nie mieju dla kawo zbierat'... — „to nie moje, Moskwa zabierze wszystko... nie mam dla kogo zbierać..."

A takich wypadków jest mnóstwo.

Żniwa zamiast kończyć się w sierpniu czy wrześniu, skończyły się 10 października. Osiem lat kolektywizacji nie dały żadnego dodatniego wyniku. A usunięcie długoletniego i zapalonego kolektywisty Kalmanowicza i zastąpienie go rodowitym Rosjaninem — gospodarzem Demenkiem daje dużo do myślenia. Sądzą, że teraz nastąpi okres odwrotu — do gospodarstwa indywidualnego. Mocno przywiązany chłop do ziemi, do własności, zdaje mi się, że nie ulegnie.

Anna Turowska

Z cyklu „Miłość we śnie"
Do „Nieistniejącego"

Położyłam pieczęć milczenia na usta —
Na moją miłość szaloną,
Twej duszy — dalekiej — spragnioną!
I tylko mi serce szumi... muszla pusta!...
Zagasiłam me oczy! Niech nie widzą Ciebie!
I na tęsknoty srebrnej fali
Niech nie płyną za Tobą, w dali,
By utonąć i ożyć w Twoich oczu niebie!...
Lecz wiem, że kiedyś, po Wiekach bez końca,
Pojmiesz mej miłości orędzie,
I dusza moja Twoją posiędzie,
W promieniach Nieskończoności słońca!

Zygmunt Lasocki

Sienkiewicz, Encyklopedia Powszechna a profesor Górka

Prawdę, stwierdzoną licznymi aktami, pisze o Skrzetuskim Kazimierz Ceypler w panegiryku, wydanym w r. 1701, poświęconym rodzinie Skrzetuskich:

„Azasz nie duchem Marsa zapalony
Mikołay? który za Jana Trzeciego
Swoiey dzielności miał pułk powierzony,
Podczas Chocimskiey, Rycerstwa Polskiego.
Trwać będzie jego sława, Bisurmany
Póki się wstydzić będą swey przegrany.
Z Moskwą, z Kozaki, y Ordą zuchwałą,
Wiele obrotów Sarmacya miała
Tylekroć jego odwagę wspaniałą
Oyczyzna nasza pięknie zachwalała.
Umarł na ręku Marsa y Bellony,
Rycerz niewczasy różnemi strudzony".

O tym bohaterskim żołnierzu nie umie p. Górka nic innego powiedzieć, jak „gwałciciel kobiet, infamis i świętokradca". Przedtem zwał go „Kozakiem-spryciarzem, rodzajem ruskiego Rzędziana czy Zagłoby" („Ogniem i mieczem a rzeczywistość historyczna" s. 80). Dawniej z niesłychanym impetem i tupetem pisał o Skrzetuskim Kozaku, prawosławnym Rusinie. Jest o nim cały rozdział w jego książce, p. t. „Skrzetuskiego spod Zbaraża rzeczywiste pochodzenie i rola". Mówił tam z emfazą o „jak najdalej idącej ścisłości każdego szczegółu". „Jedynie bowiem — prawi — w interesie zagadnienia literackiego i tylko na razie poruszyłem te sprawy bez prezentowania mego całego aparatu naukowego. Gorzej zaś już jest dla mnie, że p. p. polemiści zmuszają mnie raz za razem do produkowania materiałów nieznanych dotychczasowym badaniom polskim, bądź to nie uwzględnianych, które sam przeznaczyłem dopiero do fachowego opracowania przeze mnie tych zagadnień i czasów". „Nie przypuszczam, by jakiś historyk (jak twierdzą niektóre dzienniki), choćby trochę zorientowany w źródłach i literaturze tej sprawy, mógł tego Skrzetuskiego spod Zbaraża uważać za Polaka". „Przeprowadzę dowód, że Skrzetuski wysłany ze Zbaraża do króla nie tylko nie był Polakiem, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa, na tle rzeczywistości lat 1648-49, w ogóle nie mógł nawet być Polakiem". (s. 79, 81, 82).

Dziś już nie powołuje się p. Górka na ścisłość każdego szczegółu, nie prezentuje całego swojego aparatu naukowego, nie prowadzi sam dowodu, że Skrzetuski nie tylko nie był Polakiem, ale w ogóle nie mógł być nawet Polakiem, nie traktuje całej sprawy Skrzetuskiego jako nadzwyczajnej „rewelacji", lecz zasłania się „całą historiografią polską", która jeszcze przed jego artykułami rzekomo zgodnie i bez protestu uważała Jana Skrzetuskiego spod Zbaraża za schizmatyka, a zwłaszcza zdaniem prof. Sobieskiego, o którego pracach historycznych do niedawna lekceważąco się wyrażał.

SKRZETUSKI W RZECZYWISTOŚCI.

Otóż nieprawdą jest, by cała historiografia polska uważała Skrzetuskiego za schizmatyka. Żaden z historyków polskich ani też z pamiętnikarzy współczesnych Skrzetuskiemu, którzy opisują jego czyny bohaterskie, żaden z ówczesnych dokumentów **polskich**, które się odnoszą do jego osoby, nie wspomina o tym, by Skrzetuski był schizmatykiem. Mówią tylko o nim jako o szlachcicu polskim. Jedynie w liście cudzoziemca, nuncjusza papieskiego, bardzo życzliwego Polakom, ale bardzo słabo orientującego się w stosunkach polskich (Skrzetuski nazywa się u niego Skrzetunowski, o co mniejsza, ale tak głośny podówczas Chmielnicki jest stale nazywany w jego raportach Chimilińskim, według niego Kostka Napierski z **Kozakami** zajął Czorsztyn i t. p.) nazwano Skrzetuskiego Kozakiem, a zatem i schizmatykiem. Pomyłka ta pochodzi oczywiście stąd, iż nuncjusz przypuszczał, że Skrzetuski, towarzysz chorągwi kozackiej, był Kozakiem. Błąd do wytłumaczenia u cudzoziemca. Błąd ten jednak popełnił również i docent historii polskiej dr Górka. Oczywiście każdy badacz, mający pojęcie o ustroju wojska polskiego, wie, iż polskie chorągwie kozackie a pancerne to jedno i to samo i że towarzysz chorągwi kozackiej czyli pancernej mógł być tylko szlachcic polski, a nie Kozak. Nieznajomość tych stosunków u historyka, zajmującego się dziejami wojskowości polskiej, jest tak rażąca, że jej gen. Kukiel w krytyce swojej nie poruszył, nie chcąc kompromitować p. Górki. Gdy zaś ja ją wytknąłem w broszurze p. tyt. „Ogniem i mieczem w świetle rewelacji dra Górki", generał Kukiel w artykule, umieszczonym w „Kurierze Warszawskim" z 27 marca 1934, zaznaczył: „autor stwierdza, czego ja poruszać nie chciałem, że dr Górka nie odróżnia polskich chorągwi „kozackich (czyli pancernych) od Kozaków ukrainnych czy niżowych, towarzyszy kozackich (ze wszystkich ziem koronnych) od tychże Kozaków".

Poza prof. Sobieskim, który nie zajmował się specjalnie historią XVII w., a zwłaszcza historią wojskowości, a sprawę Skrzetuskiego zupełnie ubocznie traktował, powołując się na wspomniany list nuncjusza, nie znam historyka, który by mówił o Skrzetuskim jako schizmatyku. Przeciwnie, cały szereg najpoważniejszych historyków w listach pisanych do mnie zaakceptował w zupełności moje stanowisko. Gen. Kukiel uczynił to we wspomnianym artykule. Zaś prof. Konopczyński na zjeździe historyków w Wilnie powiedział do oczu p. Górce: „Rewizja dziejów jest potrzebna, ale przewodniczyć jej winno hasło: „pogłębiać, rozjaśniać" — a nie „wywracać i odwracać!" Kto tego nie uznaje, ten może włożyć dużo pracy, a jednak Skrzetuski pozostanie Polakiem a nie Kozakiem, Wiśniowiecki nie będzie ani tchórzem ani zdrajcą..." (II 50).

Daremne są obecne wysiłki prof. Górki, by się zasłaniać ś. p. prof. Sobieskim w sprawie Skrzetuskiego. Wystarczy wziąć do ręki jego pracę „Ogniem i mieczem a rzeczywistość historyczna" i przeczytać rozdział p. tyt. „Skrzetuskiego spod Zbaraża rzeczywiste pochodzenie i rola", by się przekonać, jak się chełpił przed trzema laty swoimi rewelacyjnymi badaniami nad bohaterem zbaraskim.

Rzeczywista postać Skrzetuskiego znalazła przed dwoma laty na łamach tego samego „Pionu", w którym ją prof. Górka obecnie w tak haniebnym świetle przedstawia, zupełnie inną ocenę: Omawiając dyskusję nad historycznością „Ogniem i mieczem" pisano tam: „Zanotować trzeba nowy głos w tej sprawie, doskonały szkic Z. Lasockiego o Mikołaju Skrzetuskim, bo takie imię bohater Zbaraża nosił naprawdę. Osobistość to, jak się okazuje, zgoła niepospolita, choć nie zawsze i nie pod każdym względem sympatyczna, bliska awanturniczemu Kmicicowi, niekiedy Wołodyjowskiemu, a całkowicie różna od papierowego doskonałego bohatera, jakim Sienkiewicz zrobił swego Skrzetuskiego. Wielkopolanin z pochodzenia, żołnierz z zawodu, awanturnik z temperamentu, Imć Mikołaj, pod koniec zasłużonego żywota rotmistrz królewski i dowódca chorągwi, która dobrze spisała się w potrzebie chocimskiej, za żywota zwracał uwagę nie tylko pamiętnikarzy, ale i skrybów sądowych, trybunalskich i grodzkich. Wędrówkę swą bowiem po aktach, skrupulatnie zbadaną przez autora szkicu, rozpoczyna Skrzetuski od porąbania kolegi, rotmistrza piechoty, w r. 1636. Pijackiej burdzie w ukraińskiej mieścinie dziwić się trudno, gorzej ma się rzecz ze swatami w lat trzydzieści później, przypominającymi raczej napad Bohuna na Rozłogi niż miłosne gruchania Jana z piękną kniaziówną w sadzie ukraińskim. Podstarzały kawaler jedzie do ziemi Bełskiej do ciepłej wdówki, zbrojnie obsadza dwór, serce zaś wybranki usiłuje zdobyć w sposób nieco tatarski, bo przy pomocy nahaja. Rzecz jasna, że konkury te wiodą nie przed ołtarz, lecz do grodu. Równocześnie jednak jest Mikołaj Skrzetuski jednym z najświetniejszych zagończyków, w kampaniach bowiem z Chmielnickim w czasach Beresteczka, dalej moskiewskiej, dalej tatarskiej 1671 odznacza się gromiąc wroga i niezawodnie dostarczając języka, jak to wiemy choćby z opowieści Paska. Pod koniec życia, niedługo przed Chocimem, którego najprawdopodobniej nie dożył, podejmuje się karkołomnych funkcji wojenno-dyplomatycznych, powierzonych mu przez samego pana hetmana, Sobieskiego, i wywiązuje się z nich doskonale. Jednym słowem, osobistość prosząca się wprost o pióro... sienkiewiczowskie". Autorem tej recenzji, podpisanym inicjałami J. K., jest zapewne wybitny znawca literatury i historii, p. Julian Krzyżanowski, a w każdym razie nie byle kto. Naszkicowana przez niego, na ogół zgodnie ze źródłami historycznymi, postać — to oczywiście nie Skrzetuski p. Górki: gwałciciel kobiet, świętokradca i infamis, a według jego dawniejszych „rewelacji" Kozak, Rusin, schizmatyk, Kozak-spryciarz, rodzaj ruskiego Rzędziana czy Zagłoby. — Tyle o Skrzetuskim.

SIENKIEWICZ A ENCYKLOPEDIA.

Dwa artykuły poświęcił prof. Górka wykazywaniu, iż Sienkiewicz czerpał swoje wiadomości do Trylogii z Encyklopedii Powszechnej Orgelbranda.

Irena Gulácsy

(Z węgierskiego tłum. Wanda Hickel-Ptakowa.)

Buciki

W jesieni i w zimie tylko gęś i cygan chodzą boso. W tym czasie należy już nosić buty. A kupić je najłatwiej na jarmarku i to w jesieni.

Ale nie zawsze ta pora tłumaczy potrzebę butów, czasem od parady się je kupuje... jak to miało miejsce u starego Wojciecha. Nie sobie kupował buty ani swojemu synowi. Bo ten, jeśli potrzebuje, to niech sobie sam je kupi. Ale kupował buciki dla swojego wnuczka. Dla pierwszego! Jakkolwiekby kto lubiał swoje dziecko, to jednak najwięcej kocha się zwykle wnuka. Tym więcej go kochał, że tak długo kazał na siebie czekać. Przed nim zawsze rodziły się dziewczynki, a dopiero po długim czasie chłopak. Już wtenczas stary Wojciech postanowił mu kupić buciki z ostrogami.

Teraz właśnie nadeszła ta chwila.

Chłopak ma już 6 lat, chociaż nie wygląda na tyle, jest szczupły, chorowity, a raz omal że nie umarł. Ale chwała Bogu ocalał.

Buty kupić to też sztuka. Trzeba być fachowcem i to nie byle jakim. Syn Wojciecha czuł się na siłach do spełnienia tej trudnej misji. Bo trzeba wiedzieć, że to nie błaha sprawa. Mały Janek ma w tych bucikach zrobić pierwszy krok w szeroki świat. Dlatego też ojciec małego powiedział do dziadka:

— Nic dobrego z tego nie wyjdzie, jeśli tatuś pójdzie kupować te buty; bo tatuś się nie zna na tych nowoczesnych chytrościach. Jeszcze ojca oszukają.

— Ile par butów więcej kupiłeś niż ja? — obruszył się stary; omal że awantura z tego nie wynikła.

Niewiasta z nad szaflika posypała gradem słów, jak przystało na kobietę mężną, podtrzymującą zdanie męża. Stąd się błyska, stamtąd sypią się gromy, ale wszystko na próżno. Stary Wojciech około godziny czwartej zaprzągnął konie. Wyterlikał na wóz większego prosiaka. To jest cena butów, tak było zawsze, jak świat światem.

Pieniądze nie są potrzebne, jeszcze jakie nieszczęście mogłoby z nich wyniknąć. Mogliby je ukraść złodzieje, o to nie trudno w takich okolicznościach.

Kiedy to wszystko stary przemyślał, zabrał się do odjazdu. Godzina spokojnej jazdy i będzie na miejscu. Po cóż miałby się śpieszyć! Czy może Węgier jest szczęśliwszy, odkąd posługuje się lokomotywą. Przed szóstą będzie na rynku. O tej godzinie rozpocznie się targ, bo trzeba wiedzieć, że kupcy już w nocy rozstawiają swoje kramy. Rozpakowanie to głupstwo, ale postawienie straganu wymaga dużo pracy. Dokładna to budowa. Dużo pochłania trudu i czasu, nim stanie tak jak powinien. Żeby to wiatr nie zburzył, żeby był widoczny i aby przyciągał kupujących.

W tym celu majstrowie już z wieczora stawiają szkielet budowy. Dopiero później naciągają płótna. Bywają one rozmaite. U dawnych kupców spotyka się jeszcze terem napojone płótna, na młodszych zaś napuszczone gumą. Ostatecznie to na jedno wychodzi, jeśli Bóg ześle obfity deszcz, tak to jak i tamto zmoknie. Woda nie patrzy, jakie tam płótna, zawsze utoruje sobie drogę.

Ale dziś na to się nie zanosi. Wschodzące słońce błyszczy na niebie jak ogromna tarcza. Z upodobaniem przegląda się w lśniących butach powieszonych na drążkach. Bo wiadomo, że potrzeby ciała zawsze mają największy zbyt. Tu zostały poukładane. Łokciowe towary oblegają kobiety. Rymarzów zaś i garbarzów mężczyźni. Na tym tle wyłania się postać starego Wojciecha. Przedreptał przed straganem, gdzie były buty, tak jakby go to nie obchodziło. Wpierw zrobił przegląd ogólny. Trudno, jednak szewc Kanderesy i dzisiaj jest pierwszy, o czym łatwo się przekonać. W tym celu podszedł do pani majstrowej.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry i wam — brzmiała odpowiedź.

Nie było mądrą rzeczą, gdyby ktoś wierzył w tego rodzaju serdeczność. Bo na targu panują inne obyczaje. Jeden drugiego stara się podejść. Rzecz ta obu stronom wiadoma.

— Czego sobie życzycie?

— No... — przeciąga się stary Wojciech z namysłem. — Trzeba by mi, wiecie...

Nie mówi natychmiast, czego potrzebuje, wpierw sięga do kieszeni, aby poszukać sznurek, na którym ma oznaczoną miarę.

Encyklopedia ta była w swoim czasie znakomitym dziełem, a wiele z artykułów w niej zawartych jeszcze i dzisiaj stanowi cenne źródło naukowe. W najnowszych dziełach historycznych, n. p. w monumentalnym wydawnictwie Polskiego Słownika Biograficznego, często znajdujemy powołanie się na to źródło.

W czasokresie, w którym Sienkiewicz układał Trylogię, każdy intelektualista, zwłaszcza w Królestwie, korzystał z Encyklopedii Orgelbranda. Czynił to oczywiście i Sienkiewicz. Zwłaszcza doskonałe artykuły Juliana Bartoszewicza dostarczały mu z pewnością niejednokrotnie tematu do jego powieści historycznych. Natomiast niezgodne z rzeczywistością jest twierdzenie prof. Górki, jakoby „zbadanie źródeł Sienkiewicza przy pisaniu „Ogniem i mieczem" oraz „Potopu" wskazywało dobitnie na to, że niemal wyłączną orientację bibliograficzną — oczywiście poza głośnymi, właśnie wydanymi nowościami — stanowiła dla niego Encyklopedia Orgelbranda". Encyklopedia była bowiem tylko jednym z rozlicznych źródeł, z których Sienkiewicz czerpał swoje wiadomości historyczne. Mnóstwo innych źródeł wymieniają w swoich pracach dr Kijas, prof. J. Birkenmajer i in. Zaś do „nowości" wydanych przed napisaniem „Ogniem i mieczem", a tym bardziej przed „Potopem", trudno chyba zaliczać „Dzieje Polski" Szujskiego lub prace Szajnochy, wydane około 25—30 lat wcześniej, aniżeli pierwsza z tych powieści historycznych, dzieła, z którymi Sienkiewicz był dokładnie obznajomiony, jak to stwierdza prof. Zakrzewski.

Fakt, że Sienkiewiczowi niektóre szczegóły z Encyklopedii Powszechnej posłużyły do Trylogii, nie jest zresztą żadną rewelacją prof. Górki. Pisze już bowiem o tym wyraźnie prof. Zakrzewski: „W Encyklopedii Orgelbranda, w r. 1867, pojawił się gruntowny i źródłowy artykuł Juliana Bartoszewicza (o ks. Jeremim Wiśniowieckim). Ten nie negując w charakterze księcia Jeremiego istnienia cech ujemnych, np. dumy, zaciętości wobec króla, jednak ogólny sąd o nim zamyka w słowach: „mąż wiekopomny, obywatel najzacniejszy, wielki". Sądzę, że Sienkiewiczowi, jako powieściopisarzowi wolno było oprzeć się na opinii, jaką sformułował cieszący się wówczas uznaniem Bartoszewicz" (Zagadnienia Historyczne I. 89).

Ustęp powyższy w dziele prof. Zakrzewskiego dał oczywiście asumpt prof. Górce do napisania najświeższej swojej rewelacji p. tyt. „Henryk Sienkiewicz a Encyklopedia Powszechna".

Przy tej sposobności przeglądnął Encyklopedię Orgelbranda. Szkoda jednak, że tego wcześniej nie uczynił. Gdyby był przeczytał artykuł Bartoszewicza o Wiśniowieckim, byłby się może zawahał — pomimo wytyczonej tendencji — nazwać ks. Jeremiego zdrajcą i tchórzem. W każdym jednak razie studium Encyklopedii Powszechnej przyda się z pewnością prof. Górce

Rozrywki umysłowe nr 47|86

pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

ZAD. 1. — REBUSIK LITEROWY — MURZYŃSKIE PRZYSŁOWIE (5 PUNKTÓW)
uł. „Kasta" — czł. Kl. Szar.



ZAD. 2. — SZARADA — PARODIA (3 PUNKTY)
uł. „Rex" — czł. Kl. Szar.

Chciałbym cię ja brać, dziewczyno,
trzeci dla cię wić,
by **czwór-pierwszy,** o jedyna,
pod niebiosa wzbić!

Chociaż jestem **wtórym - trzecim,**
siódmy *) biały mam,
serce z wigorem młodzieńczym
w piersi jeszcze drga.

Na **dziewiątej - czwartej** w jarze
wróbel ćwierka nam,
że i grudzień - biały starzec
też swój urok ma.

Nie bądź tedy nieprzystępną,
niby **ósmy - raz** **)
czy cię **szóst - siódmy** opętał,
żeś zimna jak głaz?

Przyjdzie jeszcze czas po temu,
że **ośm - druga** też
twemu **dziewięć - i piątemu**
nie pomoże nic!

*) wspak.

**) ósmy - pierwszy.

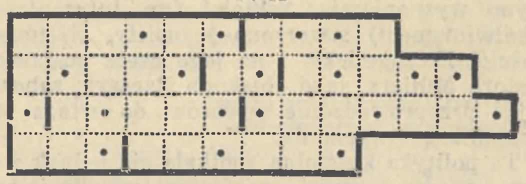
ZAD. 3. — PRZESTAWIANKA (4 PUNKTY)
uł. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

Z wyrazów w każdym rządku figury I należy utworzyć nowe wyrazy po przestawieniu liter, które wpisać trzeba w II figurę w odpowiedni rządek. Grubsze linie w II figurze tworzą granicę wyrazów, w kratki oznaczone kropkami wstawić należy samogłoski. Powstałe z tego wyrazy w II figurze, czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

F. I

Z	B	E	R	E	T	M	A	I	C			
C	O	C	E	S	I	A	R	Y	Ż	D	E	
T	U	R	A	T	O	S	A	Z	W	A	D	E
L	O	S	Ł	A	Ń	D	A	Ć				

F. II

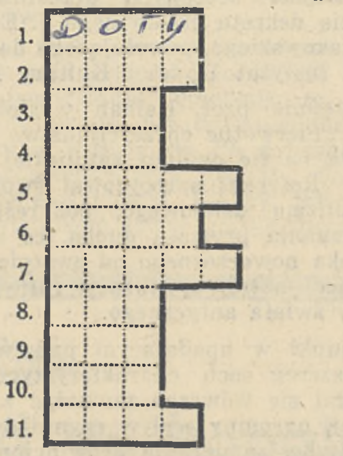


ZAD. 4. — SZARADA Z CYKLU „NA JESIENNĄ NUTĘ" (2 PUNKTY)
uł. Dziadek z Bakszły" — czł. Kl. Szar.

Choć do **Wspak czwartej -drugiej - trzeciej**
uciekaj, człecze, przed chłodami!
Raz bo raz - **czwarta** w wiecznym lecie
wschodnią rozkoszą nęci, mami!

Nawet **dwa - drugie - pierwsze** wschodnie
lepsze jest w smaku niż w Europie,
więc choć w podróży niewygodnie,
mknie tam... ma myśl po ptasim tropie.

ZAD. 5. — ELIMINATKA (4 PUNKTY)
uł. „Anerg" — czł. Kl. Szar.



W kratki podanego rysunku należy wpisać poziomo jedenaście wyrazów o podanym znaczeniu, po czym skreślić litery wchodzące w skład klucza **eliminatki**, którym jest ośmioliterowe słowo, oznaczające **„półrocza"**. Pozostałe litery, czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Jamy, 2. Cezar rzymski, 3. Wąwóz, 4. Spływające lody, 5. Wnęki, zagłębienia w ścianie, 6. Narzędzia rolnicze, 7. Pieśń nabożna, 8. Ściana, 9. Tytuł członka wyższej izby parlamentu angielskiego, 10. Z ognia powstaje, 11. Szpalty.

KUPON Nr 47/86
ważny w ciągu b. m.

Jest. Wymachuje nim stary Wojciech triumfalnie.

— Oto jest! Taka ma być długość a taka szerokość! Naciąga szpagat.

Majstrowa tylko spojrzała i już wiedziała, o co chodzi.

— Proszę mi podać tę parę na końcu drążka!

Przymierzył szpagat do wskazanych bucików. Ale majstrowa ma dobre oczy! Prawie trafiła na żądaną wielkość.

Jak dotąd wszystko w porządku, ale idźmy dalej. Poślinił i opukał podeszwę, czy nie jest z papieru i czy ma odpowiedni dźwięk. Czy uszy są dość silne — Wojciech nie żałował siły! Obcasy zdawały się być silne, jak się należy. Takie też powinny być. Bo przyjdą na nie jeszcze żelazne podkówki i ostrogi. Na tym by się skończyło z grubsza badanie butów. Buty, które wytrzymały taką próbę, zasługują, aby się nimi bliżej zainteresować. Stary Wojciech wsunął rękę aż po łokieć do buta po sam nos. Przeciął wewnątrz wzdłuż palcami. Zaleca się takie badanie, aby się przekonać, czy nie wystają kołki. Bo jeśli kołki nie są należycie wyrzezplowane, to długo popamięta dzień jarmarku ten, kto je będzie nosił! No, ale niema tu ani śladu kołków. Ale zato napiętek... Coś tu nie w porządku. Napiętek będzie obgryzał! Widać to już po nim.

Spojrzał spod oka na majstrową, ale nie zdążył dokończyć, bo w tej chwili wyrwała mu je z ręki.

— To nie dla was.

Druga para butów przeszła taką samą próbę. Te będą dobre! Wszystko w porządku, jak się patrzy. Wojciech postawił buty przed sobą i zwrócił się do pani majstrowej.

— No, co będzie z tymi butami?

Majstrowa nagle spoważniała. Naciąga szyję i patrzy ukosem, jak wrona, gdy idzie za skibą. Są to oznaki poważnego zastanowienia się. Po chwili zawyrokowała z namaszczeniem.

— Jak dla was 500! Żebyście nie mieli do mnie żalu!

„Jak dla was" oznacza, że ani mniej ani więcej, a jednocześnie świadczy o pewnej życzliwości.

A teraz kolej na starego Wojciecha. Nic nie mówiąc, buty stawia przed majstrową.

— Do widzenia — i odchodzi.

Ale nie ma w tym nic groźnego. To jest zwykły bieg rzeczy. Najwyżej sprawa wtedy nabrałaby poważnych rozmiarów, gdyby majstrowa pozwoliła odejść Wojciechowi, ale tak nie było.

— Poczekajcie! Ile dacie za te buty?

Chłop się obrócił z oburzeniem.

— Ile dam?... 400 pengö byłbym za nie dał...

— Za tyle nie mogę. Lepiej niech tu spleśnieją na drążku.

Sprawa dla Wojciecha przybiera pomyślny obrót.

Dlatego też twarz starego rozpogodziła się, jak gdyby nic nie zaszło; popluł dłonie, roztarł i przybił dłoń majstrowej.

— Niech je licho! Wszystko jedno. Dodam jeszcze 20, ale więcej ani grosza!

Majstrowa nie zwraca już uwagi na jego słowa. Zajęła się innymi klientami, tak że stary Wojciech został na boku. Chwilę czekał, ale kobieta nie zwracała zupełnie na niego uwagi.

— Słuchajcie! — woła napróżno.

Wreszcie majstrowa spojrzała na niego surowo:

— 450 i proszę brać! — powiedziała twardo.

Z głosu jej wynikało, że nadszedł już czas, kiedy dalej targować się nie można. Kiedy już na większą zniżkę liczyć nie można.

Wojciech znowu zdjął buty z drążka, postawił na stole i począł im się przyglądać. Patrzy, obraca, mruczy. Wreszcie wyjmuje chusteczkę i ociera buty z prochu.

— Zostajcie z Bogiem! Takie buty dostanę gdzie indziej taniej!

— Nie mówcie głupstw! — i poczyna zalecać towar majstrowa.

Stary mruczy pod nosem.

— 450...! Za takie głupstwo. Jak możecie tyle żądać za nie.

Baba wzięła się pod boki i odpaliła

— A czyście wy przed chwilą nie sprzedali zalewie prosię za 800 pengö? A co on was kosztował... Możeście go do szkół posyłali, żeście tyle za niego wzięli. Świnia i nic więcej. A buty robi mój mąż, który przed tym musiał się dużo uczyć. Abyście o tym wiedzieli. Jednak zaceniłam tylko 450! A jakie wyście mieli z prosiakiem kłopoty?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Życie religijne

Przegląd spraw religijnych

Jest rzeczą najzupełniej słuszną, że baczną uwagę zwracamy na to, co się dzieje w III Rzeszy z religią. Nasza polska prasa bowiem albo przeinacza sens wydarzeń z dziedziny religijnej w tym kraju, patrząc na nie wyłącznie z politycznego punktu widzenia (tak postępuje prasa lewicowa), albo też przemilcza (część naszej prasy nacjonalistycznej) lub nawet tuszuje pewne objawy walki z chrześcijaństwem na terenie III Rzeszy. A płyną z Niemiec coraz ciekawsze wiadomości.

„DIVIDE ET IMPERA".

Główny atak neopogaństwa hitlerowskiego, prowadzony przy pomocy oficjalnych czynników III Rzeszy, zwracał się dotąd przede wszystkim przeciw katolicyzmowi. Dziś atak na katolicyzm nie folguje, a wraz z nim idzie coraz silniejszy atak na tę część protestantyzmu, która nie chce się podporządkować hitleryzmowi i akcentuje swoją „wierność dla Ewangelii".

Taktyka hitleryzmu w stosunku do protestantów polega na stosowaniu znanej zasady: divide et impera (rozdziel, a potem rządź). W tym celu założono w łonie protestantyzmu osobną wspólnotę religijną „niemieckich chrześcijan", która ostentacyjnie przyjęła wszystkie „dogmaty" Rosenberga, a Hitlera uznała za reformatora religijnego. Akcja tej grupy wprowadziła duży zamęt w szeregi protestanckie. Pod wpływem jej polemik i dyskusyj religijnych zaczęły wyłamywać się z wyznania protestanckiego coraz nowe grupy. Wówczas władze III Rzeszy uznały moment za odpowiedni do zastosowania drugiej wskazówki zawartej w przytoczonej wyżej „radzie". W drodze dekretu ministra spraw kościelnych zniesiono dotychczasowe różnice między różnymi wyznaniami i sektami (np. luteranizmem i kalwinizmem) stworzono jedności, „Niemiecki Kościół Ewangelicki" i na jego czele postawiono pastora Müllera, jako „biskupa Rzeszy", zapowiadając przeprowadzenie wyborów do władz tego „jednolitego" wyznania.

Ta polityka kościelna spotkała się jednak z silnym oporem części protestantów skupionych w odłamie protestanckim, tzw. „Bekenntnisskirche" (kościół wyznaniowy) z pastorem Niemöllerem na czele. Opór ten rósł z dnia na dzień. Rozpoczęły się przenoszenia pastorów w drodze administracyjnej i aresztowanie bardziej aktywnych. M. in. został aresztowany Niemöller i od paru miesięcy w więzieniu czeka na rozprawę sądową.

BROŃ „DOGMATYCZNA" I PRAWNA.

Obok tych form walki z protestantyzmem stosuje się jeszcze inne: na polu czysto religijnym i prawnym.

Hasło do walki w pierwszej dziedzinie dał sam Rosenberg, wydając pismo pt.: „Protestantische Rompilger", w którym chciał kompromitować protestantów nie chcących ulec „biskupowi" Müllerowi, jako zwolenników pojednania z „Rzymem", tj. ze znienawidzonym w kołach protestanckich „papizmem". Inny znów hitlerowiec, Eggeling, dał początek innej kampanii o protestantyzm. Mianowicie zaczął wygrywać samego Marcina Lutra przeciw niemieckim protestantom, przypominając jego „wierność" i „lojalność" dla książąt niemieckich i potępianie wszelkich „buntów" (m. in. chłopskiego) przeciw władzy politycznej. Do pomocy tym dwom agitatorom zgłosili się jeszcze metodyści, których "biskup" Kelle — jak już pisaliśmy — w otwartym liście nazwał członków „kościoła wyznanionego" po prostu „wrogami państwa niemieckiego" z tego względu, że nie chcą podporządkować się „władzy Wodza".

Obecnie zaczyna się atak z drugiej strony, — prawnej... Pismo „Deutsche Justiz" (wydawane przez p. Kerrla, ministra spraw kościelnych) opierając się na pewnym wyroku sądowym dowodzi, że członkowie „kościoła wyznaniowego" stanowią odrębną grupę protestancką i do „niemieckiego kościoła ewangelickiego" nie należą. „Kościół wyznaniowy" zatem nie korzysta z kompetencji prawno-publicznych. Koła protestanckie widzą w tym groźbę — rozwiązania „kościoła wyznaniowego", a przynajmniej odebranie jego członkom prawa wyboru władz kościelnych.

Wydaje się, że dla niemieckiego protestantyzmu zbliża się godzina ważnych decyzyj.

WILK W OWCZEJ SKÓRZE.

Z „la Croix" dowiadujemy się, że sekretarz francuskiej partii komunistycznej Thorez nie ustaje w sławnym już „wyciąganiu ręki" do katolików. Przemawiając na jakimś zebraniu o katolickim ruchu robotniczym, wpadł w „zapał" wychwalania zasług Kościoła dla cywilizacji i ludu. A więc wywodził, że — cytujemy słowa „la Croix" z 12. XI. — „średniowiecze wcale nie było epoką ciemnoty, lecz przeciwnie, rozwoju społecznego i artystycznego uduchowienia". Dał wyraz „swemu podziwowi dla zgromadzeń zakonnych, które stanowią tak piękną próbę realizacji pełnego komunizmu i oświadczył, że nie należy prześladować ich wyjątkowymi prawami, — podziwowi dla Papieży i ich encyklik, w których podziwia odwagę słowa i szlachetność doktryny".

„La Croix" pisze, że, jak nie ma „człowieka, który by zawsze kłamał", tak też i niektóre z komplementów p. Thorez pod adresem Kościoła mogą być szczere. A w takim razie — pisze — trzeba powiedzieć, że Kościół doczekał się uznania ze strony największych swoich wrogów. Z drugiej jednak strony z tymi pochwałami kłócą się nie tylko praktyka komunistycznej partii i jej walka z religią, ale nawet dalsze ustępy mowy p. Thorez, który w końcu oświadcza, że jest wielbicielem encyklopedystów 18 w., więc — materialistycznych ateistów. Jest to — podnosi „la Croix" — tym dziwniejsze, że komuniści mienią się być „przyjaciółmi ludu", gdy encyklopedyści byli jego wrogami. I cytuje sławne powiedzenie Voltaire'a, który zapytany, co radzi dla uspokojenia wzburzonych mas ludowych we Francji, odrzekł: „Un joug et du foin" (Jarzmo i trochę siana!)... Lud uważał „filozof" Voltaire za bydło, które trzeba trzymać ostro, a któremu wystarczy do życia trochę „siana".

Te sprzeczności w mowie p. Thorez stanowią dla katolików przestrogę. Przypominają im bowiem — kończy „la Croix" — powiedzenie Chrystusa Pana o „wilkach przybranych w owczą skórę".

Mimo to p. Thorez nie daje za wygraną. Wciąż „wyciąga rękę" do katolików.

Pejot.

Pierwotne chrześcijaństwo w stosunku do państwa

Dnia 16 b. m. odbył się w Domu Katolickim im. Piusa XI w Warszawie drugi wieczór dyskusyjny. Na wstępie zaznajomił ks. dyr. Lewandowicz licznie zebranych uczestników wieczoru z treścią dekretu erekcyjnego J. Em. Ks. Kardynała Kakowskiego, powołującego do życia w Warszawie Instytut Wyższej Kultury Religijnej.

Następnie prof. Halban wygłosił referat na temat: „Pierwotne chrześcijaństwo w stosunku do państwa na tle ogólnej katolickiej nauki o państwie". Referent sprecyzował swój stosunek do materializmu dziejowego, podkreślając konieczność uznania prymatu ducha, co może uchronić człowieka nowoczesnego od zwątpienia wobec zagrażającej nowej cywilizacji ruiny, podobnej do zagłady świata antycznego.

Stosunki w upadającym państwie antycznym miały szereg cech charakterystycznych. Mianowicie dał się wówczas zauważyć zanik pewności prawnej, ogromny wpływ czynników wojskowych na politykę, zamieranie prowincjonalnych ośrodków życia politycznego na rzecz stolicy, szerzenie się kultu państwa, stosowanie zasady: „princeps legibus solutus". Aby woli władcy nadać jakąś sankcję moralną, czyni się go „bogiem". Skuteczność tej zasady była względną: walczą z nią zarówno sceptycy jak i chrześcijanie.

Stosunek pierwszych chrześcijan do państwa nie był wrogi, lecz odmienny od stanowiska pogan. Chrześcijanie kierowali się zasadą, że państwo jest środkiem tylko dla celów wyższych, a prawom państwa należy się posłuszeństwo o tyle, o ile zgodne są z prawem przyrodzonym i prawem Bożym. Wyznawanie tych zasad prowadzi do rychłego zdefiniowania chrześcijańskiego pojęcia sprawiedliwości i celu prawa. Realizacja ideału państwa chrześcijańskiego nie przestawała zajmować chrześcijan pierwszych wieków, choć nie zdołali jej z różnych względów przeprowadzić. Żywotność chrześcijańskiej idei państwa nie ulega jednak wątpliwości. Realizacja jej prowadziłaby dziś do ziszczenia zasady sprawiedliwości społecznej, jednostka zyskałaby możność pełnego rozwoju duchowego, zapanowałaby solidarność społeczna. Na zewnątrz państwo chrześcijańskie prowadzi do zapanowania sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych.

Po referacie rozwinęła się dyskusja, w której poruszano zagadnienie granic ingerencji Kościoła w stosunki polityczne i problem walki jako środka realizacji zasad chrześcijańskich.

Z obcej niwy

Czas na nową powieść

„Osservatore Romano" zamieszcza ciekawy artykuł pt. „Apostoł pióra" (Apostolo della penna), w którym Luigi Ruiz de Cardenas rzuca szereg głębokich myśli o powołaniu powieściopisarza katolickiego. Autor dowodzi, że współczesnym powieściopisarzom, nawet katolickim, brak często tej śmiałości, aby zdecydowanie ująć załamanie się duszy, pozostawionej samej sobie bez pierwiastków nadprzyrodzonych. W tym tkwi owo „niewykończenie" powieści autorów w rodzaju Mauriaca, Bernanosa i delektowanie się przeżywaniem złem. Ci autorzy czują się wygodniej na szlakach kompromisu zła z „mdłą bezbarwnością" dobra, a gdy przychodzi im odmalować dobro, albo je zatracają, albo ograniczają się do suchego skonstatowania, że istnieje.

„Literatura okresu — pisze — jest prawie zgodna z duchem danej epoki, z nastrojem jej życia i ludzi. Otóż elementem powieści, najbardziej przemawiającym do nastroju współczesnej epoki, jest heroizm, głównie heroizm społeczny, który mógłby być tematycznie wykorzystywany w jak największej ilości, jeśli chodzi o beletrystykę. Patos bohatera, walki socjalne — oto, co dziś porywa rzesze czytelników powieści. A ten właśnie element heroizmu stanowi najlepsze podłoże do rozwinięcia w współczesnej beletrystyce problemów religijnych.

Mijają czasy, w których najbardziej poczytną była powieść na modłę rosyjską w rodzaju Dostojewskiego czy Andrejewa, która przygnębiała i ubezwładniała czytelnika komplikacjami psychopatologicznymi. Nadchodzi okres, w którym talent powieściopisarza katolickiego mógłby święcić prawdziwe triumfy, gdyby rzucił przed wyobraźnię czytelników porywające wizje bohaterskiego zmagania o lepszą zbiorową przyszłość, walkę o wyzwolenie duszy, horyzonty ogólnoludzkie, patos poświęcenia i tęsknotę do najwyższych walorów życia — oto, co może poruszyć do głębi psychikę człowieka nadchodzącego.

Czy powieści katolickie należy pisać „tendencyjnie? — zapytuje Ruiz de Cardenas. Wydaje się — odpowiada — że tendencji nie można przejaskrawiać, bo w powieści przede wszystkim obowiązuje obiektywizm i najgłębsza wnikliwość, a poruszane problemy muszą być na wskroś życiowe. Beletrystyka katolicka będzie narzędziem apostolstwa dopiero wówczas, jeżeli nie będzie się ograniczać do fantastycznej formy, dociekań abstrakcyjnych, lecz gdy zajmie się rzeczywistym ludzkim życiem, a boskie prawa przedstawi z takim artyzmem i tak bezpośrednio, aby w nich czytelnik zasmakował. Jeżeli z treści powieści i artystycznej formy przeniknie do psychiki czytelnika ożywczy prąd, wzmagający jego walory moralne i chęć zbliżenia się do najwyższych ideałów — to już cel powieści katolickiej jest osiągnięty.

W obecnym okresie depresji ekonomicznej i duchowej, jaką ludzkość przeżywa, wśród ciężkich warunków bytowania szuka się w literaturze powieściowej czegoś więcej, niż rozrywki, pragnie się odnaleźć echa dręczących zagadnień, dostrzec próby ich rozwiązania. Ale do nowej treści trzeba dołączyć nową formę, która by problemy katolickie ujęła w powieści w sposób porywający, owiany urokiem heroizmu i świeżości. Forma ta, która jest najbardziej bezpośrednim znamieniem artysty-powieściopisarza, od razu odzwierciedla indywidualność twórcy.

Katoliccy powieściopisarze, o ile chcę spełnić należycie swą rolę apostolstwa pióra, winien przepoić swe dzieło głębią przemyśleń, ale jednocześnie wytworzyć w fabule powieściowej ruch i rytm zdarzeń, określone charaktery i typy i całą gamę odcieni nastrojowych o wysokiej klasie artyzmu. Wtedy dopiero powieść jego działa, porywające wyobraźnię, apelując do poczucia piękna i w ten sposób przenika niespostrzeżenie do największych głębi duszy".

KRWAWE ŻNIWO W SOWIETACH.

Podług statystyk bolszewickich do mniej więcej połowy 1936 r. „zlikwidowano" ogółem 42.800 kapłanów, tj. wysłano na pewną śmierć męczeńską w obozach koncentracyjnych na Syberii, rozstrzelano, skatowano itd. W roku 1917 pracowało w Rosji około 200 pastorów ewangelickich. Dziś pozostało z nich zaledwie 4-ch. Z 810 księży katolickich i 8 biskupów (1917 r.) pozostało zaledwie 10 kapłanów. Reszta została zamordowana, rozstrzelana, lub też zesłana na przymusowe roboty albo wydalona z granic kraju. W jednym tylko roku 1936 uwięziono 800 kapłanów, z których 102 zostało rozstrzelanych, a reszta zesłana.